

FREDRO wciąż pozostaje orzeźwiający strumieniem estetycznej radości w naszej literaturze dramatycznej, strumieniem skutecznie rozprasającym nudę i dziwactwa teatralnych produkcji. Kiedykolwiek pojawia się na scenie, oznacza to, że instynkt teatralny, otwarty i na tradycję, i na współczesność, zarówno publiczności, jak i zespołów wykonawców, nie umarł; zapowiada to satysfakcję teatralną. Oczywiście, zapowiedź nie zawsze się sprawdza. Nie sprawdziła się w należytych rozmiarach parę lat temu wystawieniem „Zemsty” w Teatrze Ludowym w Krakowie — Nowej Hucie. Jak też nie spełniła się oczekiwana radość z niedawnego przedstawienia „Fantazego” Słowackiego w tymże teatrze. Aż złość brała z powodu zmarnowanej okazji. A przecież i ten krakowski teatr, kiedy skupi swoje możliwości i siły, kiedy sięgnie po żywą i stosowną dla siebie sztukę, udowodni, że stać go na sukces.

Sukcesem jest przedstawienie „Dożywocia” Fredry, o czym piszę z ulgą i przyjemnością, to zaś odpowiada mojej nieukrywanej sympatii do tego teatru, do dzielnego i ambitnego zespołu artystów. „Wiwat, wiwat Dożywocie!” — wykrzykuje pod koniec akcji scenicznej Birbancki, a ja wykrzykuje: wiwat Giżycki, Szaniecki, Witkiewicz i inni! Tak, w głowie się kręci od wspaniałości fredrowskiej sztuki, od przenikliwości i mądrości Fredry, a w sercu radość od kunsztu jego wiersza. Wielka to frajda grać takie arcydzieło. Taką samą z pewnością — siedzieć na widowni i delectować się pięknem słowa, ciepłem i wigorem humoru, komizmem sytuacji, typów i charakterów, obnażaniem głupoty ludzkiej, odsłanianiem zaiganego obyczajów.

Szkoda, że nie widziałem Ludwika Solskiego w roli Łatki, ale jak pisze Tadeusz Kudliński, grywał tę postać raczej nie po fredrowsku, lecz po molierowsku, to znaczy w tonacji okrutnej, ponurej satyry obyczajowej. Podczas, gdy podrywanie Fredry z wad, przywar i słabości zanurzone jest słonecznie w śmieszności wesołej, a nie sztywnie. Jego sztuka, wywiedziona ze smutnej zadumy nad światem, jest zarazem wybuchem najprzedniejszego humoru. Jest jedną z najwesołszych, jakie Fredro napisał (Boy).

Zdaje się, że reżyser nowohuckiej inscenizacji „Dożywocia” Kazimierz Witkiewicz, znany przecież znakomity aktor, widział Łatkę Solskiego i nie za bardzo bronił się przed pewnymi reminiscencjami tamtej kreacji. A jednak Łatka Henryka Giżyckiego jest po fredrowsku psychologicznie bogaty, okrutny i bezradny, nabożnie zniewolony przez pieniądze i obłudnie czuły wobec uczestników rozpetanej przez siebie intrygi, piaszczący się po szczeciacku, śmieszny. Żalność sama i śmieszność.

Pamiętam Giżyckiego sprzed siedemnastu lat — z dobrej roli w „Zegnaj, Judaszu” Iredyńskiego w

pióna w wydarzenia, w dialog. Ostrość i pojękliwa czułość wygłaszanych kwestii. Cóż za sceny! Te pełne troski osłaniającej zdrowie Leona. Te z Twardoszem. Ta, w której staje się natchnionym kaznodzieją, prawiącym najwznioślejsze morały. Ta, kiedy zamyka Leona z Rózią. Ta z lichwiarskimi umizgami wobec Rózi. Spreżystość, gętkość, stopienie wszystkich elementów gry w jedność spójnego, finezyjnego efektu artystycznego.

Partnerują Giżyckiemu na zbliżonym poziomie, aczkolwiek po swojemu, Andrzej Gazdeczka jako Twardosz i Tadeusz Szaniecki jako Orgon. Monstrualna postać Twardo-

gońskiej sylwetki, rubasnością prostaka, łagodził jego handlowo-matrymonialny pomysł i usprawiedliwiał ekonomiczno-obyczajowym uwikłaniem. No, może to nawet w pewnym stopniu odpowiada niby-filozoficznej Orgonowej apostrofie: *Świecie, ty stary krętoszu*. Szaniecki mówi to tak pięknie i przekonująco, jak zresztą inne frazy Fredrowskiego wiersza, że postać Orgona sublimuje na podobieństwo niemal dramatycznej ofiary sytuacji bez wyjścia. Ze „szlachetnym” wyjściem spieszy już sam Fredro i dzięki komediowemu zbiegowi okoliczności nie dopuszcza, żeby Orgon postąpił jak Respekt u Słowackiego.

Do trójki protagonistów dostraja się warsztatową sprawnością i wyuczuciem swej roli Adam Sadzik jako Filip. Nienagannie wpisują się w całość spektaklu Ewa Sasiadek (Rózia), Marian Jaskulski (Bafal Lagena), Zbigniew Samogranicki (Michał Lagena), Zbigniew Gorzowski (Służący), Zbigniew Horawa (Żyd), Tomasz Poźniak (Skrzypek) i Jarosław Szwec (Żyd-Wekslarz).

Jeszcze słowo o dwóch aktorach. Leona Birbanckiego gra Krzysztof Wojciechowski, Doktora Hugo — Jerzy Hojda. Nie można im odmówić wielu walorów — interesującej sylwetki, głosu, dykcji, umiejętności bycia na scenie. Odnosi się to i do przed nimi wymienionych artystów. A mimo to... Można by nawet uszy przytknąć, na jakieś niestaranności czy chropowatości w wygłaszaniu wiersza. Zastanawia co innego. Czy oni nie uwierzyli, że to wystarczy, że technika i rzemiosło to już pułap ich możliwości? Że można poprzestać na zewnętrznych, cyrkowych umiejętnościach tworzenia postaci, na ekwilibrystycznych sprawnościach ruchowych i mimicznych? Otóż, jeśli jeszcze nieco poprawią to rzemiosło i jeśli dopracują się osobowości (ludzkiej i artystycznej), jeśli wyposażą swą sztukę w parametry wewnętrzne, skrócą drogę do poziomu artystycznego reprezentowanego przez Giżyckiego i Szaniawskiego.

określenie
K.K.

Wiwat „Dożywocie” i Giżycki

Teatrze Kameralnym. Przed dwoma laty stworzył na scenie swego teatru w Nowej Hucie ciekawą postać Superiusza w „Pieszo” Mrożka. W „Dożywociu” jest pierwszorzędną gwiazdą aktorską, dominującą nad całym przedstawieniem, nie tylko z woli Fredry, wyznaczającego Łatkę miejsce centralne, ale i siłą własnej indywidualności.

Warsztat aktorski jest dla Giżyckiego mistrzowsko opanowanym instrumentem, służącym grze wypełnionej wnętrzem. Szczupła, przycięta sylwetka, czarny, sfiatygowany surdut, nogi starczo zgięte w kolanach, stąpające ostrożnie, twarz o zwichniętej symetrii w okolicy ust, czujna, nateżona niepokojem. Żalostliwie śmieszny. Wciąż mówi i gestykuje, z istic chorobliwą alteracją. Bezbłędna dykcja, nie gubiąca niczego w wartkim nurcie akcji, w potoku słów i melodii wiersza. Rytmika wiersza płynie wto-

sza o tęgim brzuchu i lysej wielkiej pale. Groźna postać. Po cóż mu płaczliwie płać, jak to robi staroświecki już lichwiarz Łatka. Wgląda w papiery, rachuje, podpisuje lub odmawia podpisu. Jest już z przyszełego świata wszechwładnie panującego kapitału. Orgon należy do obu światów: i teraz, i potem zgodnie z obyczajem sprzedaje się córki dla poratowania kondycji materialno-społecznej rodziców. *Pieniądz stał się wszystkim* — napisze Fredro w „Trzy po trzy”. Będzie też o tym wiedział Słowacki, czemu da wyraz w „Fantazym”.

Mieliśmy więc i w naszej literaturze subtelnych autorów „Komedi ludzkiej”. Balzac wówczas nie był jedynym. Orgon jest pospolitym głupcem i łajdakiem, gotowym oddać młodszą córkę w łapy starego lichwiarza. Jakby tym łajdactwem sprawiał przykrość Szanieckiemu, który swym talentem, ciepłem szla-

Państwowy Teatr Ludowy w Krakowie: „Dożywocie” Aleksandra Fredry. Reżyseria: Kazimierz Witkiewicz. Scenografia: Janusz Warnechowski, opracowanie muzyczne: Jolanta Szczerba.

Z teatru

„Dożywocie” w Teatrze Ludowym

Fredro wciąż pozostaje orzeźwiającym strumieniem estetycznej radości w naszej literaturze dramatycznej, strumieniem skutecznie rozprasającym nudę i dziwactwa teatralnych produkcji. Kiedykolwiek pojawia się na scenie, oznacza to, że instynkt teatralny, otwarty na tradycję, i na współczesność, zarówno publiczności, jak i teatrów, nie umarł; zapowiada to satysfakcję teatralną. Oczywiście, zapowiedź nie zawsze się sprawdza.

SUKCESEM jest przedstawienie „Dożywocia” Fredry w Teatrze Ludowym*, o czym piszę z ulgą i przyjemnością. W głowie się kręci od wspaniałości Fredrowskiej sztuki, od przenikliwości i mądrości Fredry, a w sercu radość od kunsztu jego wiersza. Wielka to frajda grać takie arcydzieło. Taka sama z pewnością — siedzieć na widowni i delektować się pięknem słowa, ciepłem i wigorem humoru, komicznym sytuacją, typów i charakterów, obnażaniem głupoty ludzkiej, odsłanianiem załganego obyczaju.

Szkoda, że nie widziałem Ludwika Solskiego w roli Latki, ale jak pisze Tadeusz Kudziński, grywał tę rolę raczej nie po Fredrowsku, lecz po Molirowsku, to znaczy w tonacji okrutnej, ponurej satyry obyczajowej. Podczas, gdy podrywanie Fredry z wad, przywar i słabości zanurzone jest słonecznie w śmieśności wesołej, a nie szyderczej. Jego sztuka, wywiedziona ze smutnej zadumy nad światem „jest zarazem wybuchem najprzedniejszego humoru, jest jedną z najwesołszych, jakie Fredro napisał” (Boy).

Zdaje się, że reżyser nowohuckiej inscenizacji „Dożywocia” Kazimierz Witkiewicz, znany przecież znakomity aktor, widział Latkę Solskiego i nie za bardzo bronił się przed pewnymi reminiscencjami tamtej kreacji. A jed-

nak Latka Henryka Giżyckiego jest po Fredrowsku psychologicznie bogaty, okrutny i bezradny, nabożnie zniewolony przez pieniądze i obłudnie czuły wobec uczestników rozpetanej przez siebie intrygi, płaszcący się po szczeniaku, śmieszny. Załość sama i śmieśność.

Warsztat aktorski jest dla Giżyckiego mistrzowsko opanowanym instrumentem, służącym grze wypełnionej wnętrzem. Szczupła, przygięta sylwetka, czarny, sfatygowany surdut, nogi starczo zgięte w kolanach, stąpające ostrożnie, twarz o zwichniętej symetrii w okolicy ust, czujna, nateżona niepokojem. Założliwe śmieszny. Wciąż mówi i gestykuluje, z łsicie chorobliwą alternacją. Bezbledna dykcja, nie gubiąca niczego w wartkim nurcie akcji, w potoku słów i melodii wiersza. Rytmika wiersza płynnie wtopiona w wydarzenia, w dialog. Ostrość i pojęliwa czułość wygłaszanych kwestii. Cóż za sceny! To pełne troski osłaniające zdrowie Leona. Te z Twardoszem. Ta, z której staje się natchnionym kaznodzieją, prawiącym najwznioślejsze moralizy. Ta, kiedy zamyka Leona z Rózią. Ta z lichwiarskimi unieżkami wobec Rózi. Sprężystość, giętkość, stopienie wszystkich elementów gry w jedno spójne, fnezynne efektu artystycznego.

Partnerują Giżyckiemu na zbliżonym poziomie, aczkolwiek po swojemu, Andrzej Gazdeczka, jako Twardosz i Tadeusz Szaniecki jako Orgon. Monstrualna po-

stać Twardosza o tęgim brzuchu i lysej wielkiej pale. Groźna postać. Po coś mu płacziwie paplać, jak to robi staroświecki już lichwiarz Latka. Wgląda w papiery, rachuje, podpisuje lub odmawia podpisu. Jest już z przyszełego świata wszechwładnie panującego kapitału. Orgon należy do obu światów: i teraz, i potem zgodnie z obyczajem sprzedaje się córki dla poratowania kondycji materialno-społecznej rodziców. Pieniądz stał się wszystkim — napisze Fredro w „Trzy po trzy”. Będzie też o tym wiedział Słowacki, czemu da wyraz w „Fantazym”.

Mieliśmy więc i w naszej literaturze subtelnych autorów „Komedii ludzkiej”. Balzac wówczas nie był jedynym. Orgon jest pospolitym głupcem i łajdakiem, gotowym oddać młodzieńką córkę w łapy starego lichwiarza. Jakby tym łajdaczem sprawiał przykreść Szanieckiemu, który swym talentem, ciepłem szlacheckiej sylwetki, rubasnością prosaka, łagodni jego handlowo-matrimonialny pomysł i usprawiedliwia ekonomiczno-obyczajowym uwikłaniem. No, może to nawet w pewnym stopniu odpowiada niby filozoficznej Orgonowej apostrofie: „Świecie, ty stary krętoszu”. Szaniecki mówi to tak pięknie i przekonująco, jak zresztą inne frazy Fredrowskiego wiersza, że postać Orgona sublimuje na podobieństwo niemal dramatycznej oflary sytuacji bez wyjścia. Ze „szlachećnym” wyścieniem spieszy już sam Fredro i dzięki komediowemu zbiegowi okoliczności nie dopuszcza, żeby Orgon postąpił jak Respekt u Słowackiego.

Do trójki protagonistów dostraja się warsztatowa sprawność i wyczuciem swej roli Adam Sądzik jako Filip. Nienagannie wpisują się w całość spektaklu Ewa Sasiadek (Rózia), Marian Jaskulski (Rafał Laguna), Zbigniew Samogranicki (Michał Laguna), Zbigniew Gorzowski (Służący), Zbigniew Horawa (Żyd), Tomasz Poźniak (Skrzypek) i Jarosław Szwece (Żyd-Wekslarz).

Jeszcze słowo o dwóch aktorach, Leona Birbanckiego gra Krzysztof Wojciechowski, Doktora Hugo — Jerzy Hojda. Nie można im odmówić wielu walorów — interesującej sylwetki, głosu, dykcji, umiejętności bycia na scenie. Odnosi się to i do przed nimi wymienionych artystów. A mimo to... Można by nawet uszy przymknąć na jakieś niestaranności czy chropowatości w wygłaszaniu wiersza. Zastanawia co innego. Czy oni nie uwierzyli, że to wystarczy, że technika i rzemiosło to już pułap ich możliwości? Ze można poprzestać na zewnętrznych, cyrkowych umiejętnościach tworzenia postaci, na ekwilibrystycznych sprawnościach ruchowych i mimicznych? Otóż, jeśli jeszcze nieco poprawią to rzemiosło i jeśli dopracują się osobowości (ludzkiej i artystycznej), jeśli wyposażą swą sztukę w parametry wewnętrzne, skrócą drogę do poziomu artystycznego reprezentowanego przez Giżyckiego i Szanieckiego.

KAZIMIERZ KANIA

* Państwowy Teatr Ludowy w Krakowie: „Dożywocie” Aleksandra Fredry. Reżyseria: Kazimierz Witkiewicz, scenografia: Janusz Warpechowski, opracowanie muzyczne: Jolanta Szczerba.

SŁOWO POWSZECHNE

13 STYCZEN 1999



Młodzieżowa

Agencja

Wydawnicza

RSW

„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA KRAKOWSKA

ul. Wielopole 1

31-072 Kraków

Nr 13 14 15 -05-88

26 „Dożywocie” z życiem i bez

Bardzo ciekawe przedstawienie „DOŻYWCIA” w teatrze Ludowym w Nowej Hucie jest przykładem zarówno nieklamanych osiągnięć jak i nieporozumień wynikłych (o czym jestem przekonany) z nieodpowiedniego odczytania samej komedii przy lekkim lekceważeniu tego, co redaktorzy w programie wydrukowali. Ale trzeba to szczególnie udowodnić, przy mojej najgłębszej sympatii do sceny, która wykonuje swe zadania z podziwem godną wytrwałością.

Czym jest „Dożywocie”? Jest sztuka o upadku zasad moralnych zbudowanych przez odchodzącą klasę szlachecką. Akurat w tej świetnej komedii Aleksandra Fredry można mówić o tym głośniejsze. To już nie żadne tam cześniki ani sentymentalne wspominki o dawnej świetności, to nie zemsta za mur graniczny kończąca się modlitwą o opamiętanie w obliczu wroga, który „wszedł w progi moje”. Oczywiście kretactwo i w „Zemście” łączy się z figlami, pieniężnymi. Ale w „Dożywociu” sprawa dotyczy pieniędzy i tylko pieniędzy. Z chciwości rodzi się więc opiekuńcza rola starego lichwiarza, który chce, aby Leon Birbancki żył najdłużej. Z chęci zażegnania tarapatów finansowych powstaje w Orgonie myśl, żeby młoda, piękna córka oddać w ręce starca, spekulanta. I gdyby nawet Różia wyzła za Łatkę — jaką przyszłość zgotowałby jej skapiec; „walczyli”, (jak dzisiaj nazywaliśmy takiego pana młodszego)?

Kazimierz Witkiewicz miał w swej robotce reżyserskiej zadanie i ułatwienie i (w pewnej mierze) utrudnienie. We wspomnianym programie napisano, czym jest dożywocie w sensie finansowym. Było ono, renta lub dożywotnim prawem czerpania dochodów z któregoś majątku zakupionego najczęściej przez jakiegoś handlarza pieniężnego.

Nad całym przedstawieniem nowohuckim panuje niepodzielnie Henryk Giżycki w roli tytułowej. Jest to wybitny aktor, znakomicie pamiętający nad wamształem i przez to doskonale prowadzący proces odsłaniania nowych i nowych chwytów spekulanta, li-

chwiarza, skapca w jednej osobie. Giżycki jest szalenie sprężysty, giętki. Niczego raz na zawsze (czyli na czas przedstawienia) nie ustala. Czyni wrażenie, że za każdym razem wymyśla jakby od nowa swego Łatkę. Robi też postać charakterystyczną i postać z komedii charakterów. Zza pozornie safandulowatej przeszłości zgarbionego staruszka ubranego w czarny surdut, wзира raz po raz morda pieniężnego łakomczucha, nawet klamcy. W opozycji do tej wymuszonej przez chciwość postawy rzekomego dobrego opiekuna Birbanckiego — buduje swa rolę skąpiną raczej środkami Krzysztof J. Wojciechowski. Jego Leon jest lekkoduchem, ale jakby nieco za lekkim. Czy ten pijak — utracjusz potrafi stać się mężem Rózi? Przypuszczamy, że będzie raczej zabawiał się, jak jego dwaj kompani Rafał i Michał Lagenowie, żonaci i szastający pieniędzmi popi- -bracia. Ułatwione więc miał zadanie reżyser przez dobre obsadzenie roli Łatki i częściami Leona Birbanckiego. Już w scenie początkowej denerwować zaczęły mnie wyraźnie niestaranności gestykulacyjne Zbigniewa Samogranickiego i Mariana Jaskulskiego. W tym miejscu trzeba podkreślić, że Giżycki imponował znakomitą interpretacją wiersza Fredry, zaś jego kompani sceniczni „przelatywali” ów wiersz pośpiesznie. Chce więc przypomnieć, że logika sytuacji komediowych łączy się tu istotnie, głęboko z rozwojem intrygi i lekceważenie wiersza we Fredrze jest niedopuszczalne. Trzeba to po prostu poprawić. Chociażby dlatego, że Giżycki ani na chwilę nie folguje; wiersz wtapia w sytuację sceniczną. Podobnie zresztą postępuje Tadeusz Szaniecki w roli Orgona. Zamaszysta postać szlachcica, jednak i utracjusza, robi na nas wrażenie. Artysta sceniczny urodzony, doświadczony, kreujący z zapamiętaniem swe role — tym razem wzbudził nasz... ostrożny entuzjazm. Dlaczego — ostrożny? Tu już jest sprawa o poważniejszą. Orgon w interpretacji Szanieckiego to przyjemny sumiasty ojczulek. Nawet w kwestii Świecie, ty kretoszu stary...” jest senty-

mentalny. Przecież, jak wspomnieliśmy na początku mamy do czynienia z odrażającym ojcowiskim stręczycielstwem. Chciałbym, aby Szaniecki właśnie swym mistrzostwem pokazał pod pozorami owej dobroduszności — dość bezceremonialną bezczelność rodzica, który niby to, ze ściśniętym sercem, dysponuje zamażpójściem swego dziecka. Różia zresztą w interpretacji Ewy Sasładek była w przedstawieniu naszym bardzo wdzięczna, ale i ona miała kłopoty z wierszem.

Kreacją spektaklu nowohuckiego można nazwać robotę Andrzeja Gazdeczki w roli Twardosza. I co ciekawe — aktor wymyślił sobie coś w rodzaju grepsu sztywnego, groźnego lichwiarza, który wszystkie podstępny Łatkę, dawno zmierzyl, nie chce kupować dożywocia, jakie zależy od długiego życia Birbanckiego. Gazdeczka czyni to wszystko w jakby zwolnionym rytmie, wydłuża gest, zastanawia się nad każdym wyborem. Ale już nad wyborem pieniężnym — najdłużej! Doskonaty kostium z epoki (scenografia jest dziełem Janusza Warpechowskiego), karczemno-hotelowe obejście, zwolniony krok Gazdeczki, to kupuje nie kupuje”, lysa głowa pasybrzucha — stanowią o sile wyrazu sceny z udziałem tego artysty. Podobnie wykonał swe zadanie Jerzy Hojda w roli doktora Hugona, Adam Sądziak, Zbigniew Gorzowski, Zbigniew Horawa, Tomasz Poźniak, Jarosław Szwece jako służący, faktory, muzykanci uzupełniali raz biedę, raz osiągnięcia interpretacyjne swych towarzyszy scenicznym.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK